JOSEPH CONRAD

Placówka postępu

wolnelektury.pl

FUNDACJA nowoczesna Polska

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Joseph Conrad

Placówka postępu

tłum. Aniela Zagórska

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

Placówka postępu

I

Zarząd stacji handlowej powierzono dwom białym. Kayerts, naczelnik, był krępy[1] i tłusty; Carlier, jego pomocnik, odznaczał się wysokim wzrostem, wielką głową i bardzo szerokim korpusem, osadzonym na długich, cienkich nogach. Trzecim człowiekiem należącym do zarządu był Murzyn z Sierra Leone, który utrzymywał, że jego nazwisko brzmi Henry Price. Atoli — z jakiejś tam przyczyny — krajowcy znad dolnej rzeki nazywali go Makolą, a imię to przylgnęło do niego w ciągu wszystkich wędrówek po okolicy. Mówił po angielsku i po francusku ze świegotliwym akcentem, miał piękny charakter pisma, znał się na prowadzeniu ksiąg i w najskrytszej głębi serca żywił kult dla złych duchów. Żona jego, Murzynka bardzo wielka i bardzo hałaśliwa, pochodziła z Loandy. Troje dzieci tarzało się w słońcu przed drzwiami niskiego domku Makoli, przypominającego szopę.

Milczący, nieprzenikniony Murzyn lekceważył obu białych. Miał nadzór nad małym składem z gliny pokrytym strzechą z suchych traw i udawał, że prowadzi dokładny spis paciorków, bawełnianych tkanin, czerwonych chustek, miedzianego drutu oraz innych towarów tam złożonych. Oprócz domku Makoli i składu znajdował się na polance stacyjnej tylko jeden większy dom. Zbudowany był porządnie z trzciny i miał ze wszystkich czterech stron

werandę. Składał się z trzech pokoi. Środkowy służył za salon; stały tam dwa proste stoły i kilka krzeseł. W dwóch pozostałych były sypialnie białych. Łóżko z siatką od moskitów służyło w każdej z nich za całe umeblowanie. Podłoga z desek usłana była przedmiotami używanymi przez białych; leżały tam otwarte puszki na wpół opróżnione, podarte odzienie, stare obuwie: wszelkie rzeczy brudne i wszelkie rzeczy połamane, które gromadzą się tajemniczo naokoło nieporządnych ludzi. Było tam jeszcze jedno mieszkanie niedaleko od zabudowań. W tym mieszkaniu, pod wysokim krzyżem odchylonym znacznie od pozycji prostopadłej, spoczywał człowiek, który patrzył na początki tego wszystkiego; który zaprojektował placówkę postępu i kierował jej budową. W swym kraju był chybionym malarzem; zmęczywszy się pościgiem za sławą — i to pościgiem o pustym żołądku — przybył tutaj, poparty wysokimi protekcjami. Był pierwszym dyrektorem stacji. Makola pielęgnował w chorobie dzielnego artystę, który umarł na febrę w świeżo ukończonym domu. Murzyn odniósł się do tego faktu ze zwykłą sobie obojętnością wyrażającą się w zdaniu: — Wiedziałem, że tak będzie. — Po śmierci malarza mieszkał czas jakiś na stacji sam ze swoją rodziną, księgami rachunkowymi i Złym Duchem, który sprawuje rządy w krajach leżących pod równikiem.

Makola umiał doskonale radzić sobie ze swoim bogiem. Może przebłagał go obietnicą, że z czasem dostarczy mu do zabawy więcej białych ludzi. W każdym razie dyrektor *Wielkiej Spółki Handlowej*, który zjawił się na parowcu

przypominającym olbrzymie pudełko od sardynek z umieszczoną na wierzchu szopą o płaskim dachu — znalazł stację w porządku, a Makolę pracującego jak zwykle z pilnością i spokojem; kazał postawić krzyż na grobie pierwszego agenta i naznaczył Kayertsa na jego miejsce. Carlier został mianowany zastępcą. Dyrektor był człowiekiem zdolnym i bezwzględnym; pozwalał sobie niekiedy — ale bardzo dyskretnie — na ponure żarty. Wygłosił mowę do Kayertsa i Carliera, rozwodząc się nad korzystnym położeniem stacji. Najbliższy punkt handlowy oddalony był mniej więcej o trzysta mil. To wprost wyjątkowa okazja, aby się odznaczyć i mieć znaczny dochód z procentów od obrotów handlowych. Osadzenie obu agentów na tym stanowisku przedstawił jako łaskę wyświadczoną początkującym urzędnikom. Kayerts wzruszył się prawie do łez dobrocią zwierzchnika. Zaznaczył w odpowiedzi, że będzie usiłował uzasadnić swoim postępowaniem położoną w nim ufność i tak dalej, i tak dalej. Kayerts służył przedtem w administracji telegrafów i umiał się poprawnie wyrażać. Carlier, były podoficer kawaleryjski w armii, której bezpieczeństwo gwarantowało kilka mocarstw europejskich, przejął się znacznie mniej mową dyrektora. — Jeśli możemy liczyć na prowizję, to wcale[2] nieźle — pomyślał. Objął chmurnym spojrzeniem rzekę, lasy i nieprzenikniony gąszcz odcinający stację od pozostałego świata — i mruknął pod nosem: — Zobaczymy.

Nazajutrz parowiec podobny do pudełka od sardynek wyrzucił na brzeg kilka pak z bawełnianymi towarami i zapasem żywności, po czym odpłynął, aby wrócić znów za pół roku. Stojący na pokładzie dyrektor podniósł rękę do czapki w odpowiedzi na ukłony obu agentów — którzy stali na wybrzeżu, powiewając kapeluszami — i rzekł do starego urzędnika Spółki udającego się do głównej kwatery:

— Popatrz no pan na tych dwóch durniów. Chyba powariowali tam, w kraju, żeby przysłać mi takie okazy. Powiedziałem im, że mają założyć ogród warzywny, zbudować nowe składy, płoty i molo. Założę się, że nic z tego nie będzie zrobione. Nie potrafią nawet zabrać się do roboty. Byłem zawsze zdania, że stacja nad tą rzeką jest zupełnie bezużyteczna, a oni obaj świetnie się do tej stacji nadają.

— Wyrobią się — rzekł stary wyga ze spokojnym uśmiechem.

— W każdym razie pozbyłem się ich na sześć miesięcy — odparł dyrektor.

Obaj agenci ścigali wzrokiem parowiec, póki nie znikł za zakrętem, po czym wziąwszy się pod ramię wdrapali się na stromy brzeg i wrócili na stację. Przebywali od niedawna w tym kraju rozległym i niezbadanym, znajdując się ciągle wśród białych, pod okiem i przewodnictwem zwierzchników. A teraz — ponieważ ich tępe dusze nie ulegały subtelnym wpływom otoczenia — poczuli się bardzo samotni znalazłszy się nagle w bezpośrednim zetknięciu z dziczą — która wydawała się jeszcze dziwniejsza

i bardziej niezrozumiała wskutek tajemniczych przejawów bujnego życia. Kayerts i Carlier byli okazami ludzi idealnie bezbarwnych i niedołężnych; istnienie ich umożliwiał tylko wysoki poziom organizacji właściwej tłumom cywilizowanym. Niewielu zdaje sobie sprawę z tego, że ich życie, istota ich charakteru, zdolności ich i zuchwalstwa wypływają tylko z wiary w bezpieczeństwo otoczenia. Odwaga, spokój, zaufanie; uczucia i zasady; wszystkie wielkie i wszystkie błahe myśli należą nie do jednostki, lecz do tłumu: do tłumu, który wierzy ślepo w niewzruszoną siłę swych instytucji i swej moralności, w potęgę swej policji i swej opinii. Ale zetknięcie się z nagą, nieokiełznaną dziczą, z pierwotną naturą i pierwotnym człowiekiem wzbudza w sercu nagły i głęboki niepokój. Poczucie, że się jest jednym jedynym ze swej rasy; jasne uświadomienie sobie samotności swych myśli, swych wrażeń, zaprzeczenie tego, co jest zwykłe, co jest pewne — wszystko to łączy się ze stwierdzeniem niezwykłości, która jest groźna, z odczuciem rzeczy niewyraźnych, nieuchwytnych i odrażających, których niepokojące wtargnięcie podnieca wyobraźnię i wstrząsa nerwami zarówno głupich, jak i mądrych ludzi.

Kayerts i Carlier szli trzymając się pod rękę i tuląc się do siebie jak dzieci w ciemnościach — i obaj mieli jednakowe, nawet niekoniecznie przykre wyczucie niebezpieczeństwa, które uważa się raczej za wytwór wyobraźni. Gawędzili poufale i bez przerwy.

— Nasza stacja jest ładnie położona — odezwał się jeden. Drugi potwierdził to z zapałem, rozwodząc się obszernie nad pięknością okolicy. Przechodzili właśnie obok grobu:

— Biedaczysko! — odezwał się Kayerts.

— Umarł na febrę, prawda? — mruknął Carlier i przystanął.

— Jakże nie miał umrzeć — odparł Kayerts z oburzeniem — mówiono mi, że lekkomyślnie włóczył się po słońcu. Każdy przyzna, że tutejszy klimat wcale nie jest gorszy od naszego, tylko trzeba wystrzegać się słońca. Słyszysz, Carlier? Ja jestem tutaj panem i rozkazuję ci, abyś się nie włóczył po słońcu!

Przybrał żartobliwy ton zwierzchnika, ale w gruncie rzeczy mówił poważnie. Myśl, że mógłby pochować Carliera i pozostać samotny, przejmowała go dreszczem. Poczuł nagle, że ten Carlier bliższy mu jest tutaj, w środku Afryki, niż rodzony brat w innych okolicznościach. Carlier, wpadając w ten sam ton, zasalutował i odparł rześko:

— Rozkaz pana będzie wykonany, panie naczelniku! — Roześmiał się, poklepał Kayertsa po ramieniu i zawołał: — Dobrze się nam będzie działo! Mamy tylko siedzieć na miejscu i zbierać kość słoniową, którą te dzikusy będą nam przynosiły. W gruncie rzeczy ten kraj ma swoje dobre strony!

Wybuchnęli obaj głośnym śmiechem, a Carlier pomyślał:

— Biedny ten Kayerts; taki jest tłusty i nietęgo się czuje. To by było straszne, gdybym go musiał tu pochować. Mam

dla niego dużo szacunku... — Nim jeszcze znaleźli się na werandzie, mówili jeden do drugiego „mój kochany”.

Pierwszego dnia byli bardzo czynni; kręcili się po całym domu z młotkami, gwoździami i czerwonym perkalem, zawieszając firanki i w ogóle usiłując nadać domowi wygląd miły i przytulny; postanowili urządzić sobie wygodnie nowe życie. Ale to zadanie było ponad ich siły. Skuteczna walka z trudnościami nawet czysto materialnej natury wymaga więcej pogody ducha i wzniosłej odwagi, niż ludzie na ogół przypuszczają. Niepodobna[3] było wyobrazić sobie osobników gorzej do takiej walki przygotowanych. Społeczeństwo, które wzięło pod opiekę tych dwóch ludzi — bynajmniej nie przez troskliwość, lecz wskutek osobliwych swych potrzeb — zakazało im wszelkiej niezależnej myśli, wszelkiej inicjatywy, wszelkiego odchylenia od rutyny; i to pod karą śmierci. Mogli żyć tylko pod warunkiem, że staną się automatami. A teraz — uwolnieni od opieki ludzi z piórem zatkniętym za ucho czy też ludzi z galonem[4] na rękawie, byli jak ci dożywotni więźniowie oswobodzeni po wielu latach, którzy nie wiedzą, co robić z wolnością. Nie wiedzieli, jaki użytek zrobić ze swoich uzdolnień, ponieważ obaj dla[5] braku wprawy — nie umieli powziąć ani jednej niezależnej myśli.

Po upływie dwóch miesięcy Kayerts odzywał się często: — Nie zobaczylibyście mnie tu nigdy, gdyby nie moja Melie. — Melie była to jego córka. Chcąc zarobić na posag dla dziewczyny, rzucił posadę w administracji telegrafów, choć przez siedemnaście lat czuł się tam idealnie szczęśliwy.

Żonę stracił już dawno, a wychowaniem dziecka zajmowały się jego siostry. Żałował ulic rodzinnego miasta, bruków, kawiarni, długoletnich przyjaciół: wszystkich rzeczy, na które patrzył dzień po dniu; wszystkich myśli nasuwanych przez znane przedmioty — łatwych, jednostajnych i spokojnych myśli państwowego urzędnika; żałował plotek, małostkowych zadrażnień, łagodnego jadu i kawałów, które składają się na atmosferę biur rządowych. Carlier oświadczał ze swej strony: — Gdybym miał za szwagra człowieka porządnego, człowieka z sercem — nigdy bym się tu nie znalazł. — Carlier porzucił służbę w wojsku i tak się naprzykrzał rodzinie przez lenistwo i natrętną bezczelność, że szwagier jego doprowadzony do ostateczności uczynił nadludzkie wysiłki, aby umieścić go w *Spółce* jako drugorzędnego agenta. Nie posiadając ani jednego pensa, Carlier musiał się zgodzić na tę posadę, z chwilą gdy zrozumiał jasno, że niczego więcej nie zdoła wycisnąć z krewnych. Podobnie jak i Kayerts żałował dawnego życia. Żałował podźwięku szabli i ostróg, spacerów w piękne popołudnia, koszarowych dowcipów, dziewcząt z miast, gdzie stali garnizonem; ale poza tym wszystkim żywił jeszcze żal do świata. Był oczywiście ofiarą krzywd i niesprawiedliwości. Z tego powodu zasępiał się czasem. Lecz obaj mężczyźni harmonizowali ze sobą doskonale, złączeni wspólną głupotą i lenistwem. Nie robili nic, ale to nic dosłownie i rozkoszowali się swoją bezczynnością, za którą im płacono. Z czasem rozwinęło się w nich obu coś na kształt wzajemnego przywiązania.

Żyli niby ślepcy w wielkim pokoju, zdając sobie sprawę, i to niedokładnie — tylko z rzeczy, z którymi się stykali — lecz niezdolni byli absolutnie do ogarnięcia całokształtu zjawisk. Rzeka, las i rozległy kraj tętniący życiem, wszystko to przedstawiało dla nich wielką pustkę. Nawet jaskrawy blask słońca nie rozświetlał niepojętych zjawisk, które przesuwały się przed ich oczyma bez żadnego związku ani też celu. Rzeka zdawała się wypływać znikąd i nigdzie nie dążyć. Płynęła przez próżnię. Z tej próżni wyłaniały się niekiedy łódki i ludzie z włóczniami zalegali tłumnie dziedziniec stacji. Byli nadzy, połyskliwie czarni i zbudowani nieskazitelnie, zdobiły ich śnieżne muszle i błyskotki z miedzianego drutu. Głosy zlewały się w gwar dziwaczny i świegotliwy, ruchy mieli dostojne, a oczy ich — zalęknione i nieznające spoczynku — rzucały szybkie, dzikie spojrzenia. Siedzieli na piętach przed werandą w pięć albo i więcej długich rzędów, podczas gdy ich wodzowie targowali się godzinami z Makolą o kieł słonia. Kayerts siedział na krześle i spoglądał z góry na te poczynania, nic zgoła nie rozumiejąc. Wytrzeszczał na nich okrągłe niebieskie oczy i wołał do Carliera:

— Popatrz no — o tam! Widzisz tego draba i tego drugiego z lewej strony. Widziałeś ty kiedy taką twarz? Ach, cóż za śmieszna bestia!

Carlier, pykając z krótkiej drewnianej fajki napchanej krajowym tytoniem, zbliżał się zawadiackimi krokami, podkręcał wąsa i ogarniał wojowników spojrzeniem wyniosłym a pobłażliwym.

— W samą porę. — Piękne zwierzęta — oświadczał. — Przynieśli trochę gnatów, co? Popatrz no na muskuły tego draba — trzeciego z rzędu. Nie miałbym ochoty dostać od niego pięścią w nos. Ramiona ma piękne, ale nogi od kolan w dół — do niczego. To żaden materiał na kawalerzystę. — I spoglądał przychylnie na własne piszczele, konkludując niezmiennie: — Brr, jak oni śmierdzą! Ty, Makola, zabierz to stado do fetysza (na każdej stacji nazywano skład fetyszem, może ze względu na gnieżdżącego się w nim ducha cywilizacji) i daj im trochę tego śmiecia, które tam trzymasz. Wolałbym, żeby skład był pełen kości słoniowej niż tych gałganów.

Kayerts przytakiwał.

— Tak, tak! Idź tam i skończ tę gadaninę, panie Makola. Gdy się porozumiecie, przyjdę zważyć kieł. Musimy być dokładni. — Potem zwracał się do kolegi: — To jest plemię, które mieszka tam, w dole rzeki; trzeba przyznać, że są aromatyczni. Pamiętam, że już tu raz byli. Słyszysz ten wrzask? Czego to człowiek nie wycierpi w tym psim kraju! Głowa mi pęka.

Takie korzystne wizyty zdarzały się rzadko. Dzień za dniem obaj pionierzy handlu i postępu spoglądali na pusty dziedziniec, zalany drgającym blaskiem prostopadłych promieni. Pod wysokim brzegiem cicha rzeka płynęła spokojnie, mieniąc się iskrami. W środku łożyska na piaszczystej mieliźnie hipopotamy i aligatory leżały obok siebie i wygrzewały się w słońcu. A naokół drobnej polanki otaczającej handlową stację nieobjęte lasy ciągnęły się na

wszystkie strony i kryły złowrogie powikłania fantastycznego życia, spoczywając w wymownym milczeniu i majestacie. Dwaj mężczyźni nic nie rozumieli i nie troszczyli się o nic, pochłonięci liczeniem dni, które dzieliły ich od powrotu parowca. Poprzednik ich zostawił trochę podartych książek. Zaznajomili się z tymi szczątkami powieści i — ponieważ nigdy przedtem nic podobnego nie czytali — zdumiało ich to i rozerwało. Potem w ciągu długich dni prowadzili nieskończone i głupie dyskusje o intrygach i osobach. W środku Afryki zaznajomili się z kardynałem Richelieu i Artagnanem, z Jastrzębim Okiem i Ojcem Goriot — i z wielu innymi osobistościami. Wszystkie te urojone postacie stały się przedmiotem plotek, niby żywi znajomi. Oceniali ich cnoty, podejrzewali ich intencje, sławili ich powodzenia; gorszyli się obłudą bohaterów lub wątpili o ich odwadze. Opisy zbrodni napełniały oburzeniem obu czytelników, natomiast czułe lub patetyczne ustępy wzruszały ich głęboko. Carlier odchrząkiwał i mówił z żołnierska: — Co za brednie. — Okrągłe oczy Kayertsa pełne były łez, a tłuste jego policzki drgały, gdy oświadczał pocierając łysinę: — To wspaniała książka. Nie miałem pojęcia, że są na świecie tacy zdolni ludzie.

Znaleźli także kilka starych numerów gazety wydawanej w kraju. Ów dziennik omawiał w pompatycznych okresach[6] to, co podobało mu się nazwać „naszą Ekspansją Kolonialną”. Rozprawiał szeroko o prawach i obowiązkach cywilizacji, o świętym posłannictwie pracy cywilizacyjnej i wynosił pod niebiosa zasługi tych, którzy krzewią światło

i wiarę, i handel w ciemnych zakątkach ziemi. Carlier i Kayerts czytali, dziwili się i stopniowo nabierali o sobie coraz lepszego pojęcia. Carlier rzekł pewnego wieczoru — zakreślając szeroki łuk ręką:

— Za sto lat będzie tu może miasto. Bulwary i składy, i koszary, i... i — sale. bilardowe. Cywilizacja, mój stary, i cnota, i wszystko. A wówczas ludziska będą wyczytywali, że dwaj zacni obywatele, Kayerts i Carlier, byli pierwszymi białymi, którzy osiedli na tym miejscu!

Kayerts przytakiwał:

— Tak, ta myśl jest bardzo krzepiąca.

Zdawali się zapominać o swym umarłym poprzedniku; ale raz wczesnym rankiem Carlier wyszedł i umocował krzyż na grobie.

— Ile razy szedłem tamtędy, dostawałem zeza — tłumaczył Kayertsowi, popijając ranną kawę. — Taki ten krzyż był pochylony, że dosłownie nie mogłem na niego patrzeć, nie zezując. No więc ustawiłem go prosto. A jak mocno teraz stoi — no, mówię ci! Zawiesiłem się obiema rękami na poprzecznym drewnie. Ani drgnął. Porządnie to zrychtowałem[7].

Czasami odwiedzał ich Gobila. Był to naczelnik sąsiednich wiosek, siwowłosy dzikus, chudy i czarny; wokoło bioder nosił przepaskę z białego płótna i wyleniałą skórę pantery na plecach. Zbliżał się, stawiając długie kroki kościstymi nogami i podpierając się laską równie jak i on wysoką; wszedłszy do pokoju, który był wspólną własnością Kayertsa i Carliera, przysiadał na piętach na lewo od drzwi.

Siedział tam, śledząc pilnie ruchy Kayertsa i od czasu do czasu wygłaszał mowę, z której tamten nic nie rozumiał. Kayerts, nie przerywając sobie zajęcia, odzywał się niekiedy przyjaznym tonem: — Jakże się miewasz, stary bałwanie? — przy czym uśmiechali się do siebie. Obaj biali mieli słabość do tego starego, niezrozumiałego stworu i nazywali go ojcem Gobilą. Zachowanie się Gobili cechowała istotnie ojcowska życzliwość; wyglądało na to, że kocha naprawdę wszystkich białych ludzi. Wydawali mu się wszyscy bardzo młodzi i niemożliwi do rozróżnienia (chyba według wzrostu); wiedział, że wszyscy są braćmi i że nigdy nie umierają. Śmierć artysty, który był pierwszym białym, jakiego Gobila znał bliżej, nie naruszyła wcale tej wiary, ponieważ Gobila święcie był przekonany, że biały cudzoziemiec udał tylko śmierć i kazał się pochować dla wiadomych sobie tajemniczych celów, których zgłębienie na nic by się nie przydało. Może powrócił w ten sposób do swojego kraju? W każdym razie ci dwaj biali byli na pewno braćmi zmarłego — i Gobila przeniósł na nich swoją niedorzeczną miłość. Odwzajemniali mu się w pewien sposób. Carlier klepał go po plecach i dla jego rozrywki pocierał zapałki, nie bacząc na oszczędność. Kayerts zawsze był gotów dać mu do powąchania butelkę z amoniakiem. Jednym słowem zachowywali się zupełnie tak samo jak tamta biała istota, która ukryła się w ziemi. Gobila przyglądał im się uważnie. Może byli obaj tamtą istotą — a może tylko jeden z nich? Nie umiał tego rozstrzygnąć i wyjaśnić tajemnicy — ale czuł dla nich

zawsze niezmienną życzliwość. Na skutek tej przyjaźni kobiety z okolicznych wsi szły co rano gęsiego przez trzciniastą trawę, przynosząc na stację drób i słodkie kartofle, wino palmowe, a czasem i kozła. *Spółka* nigdy swoich stacji dostatecznie nie zaopatrywała i agenci potrzebowali miejscowych produktów, aby się wyżywić. Dostawali je z powodu życzliwości Gobili i dobrze im się działo. Od czasu do czasu jeden z nich przechodził paroksyzm febry; drugi pielęgnował go wówczas ze szlachetnym oddaniem. Niewiele robili sobie z choroby. Febra pozostawiała osłabienie i po każdym ataku wyglądali znacznie gorzej. Carlierowi zapadły się oczy; irytował się o lada drobnostkę. Twarz Kayertsa była mizerna i obwisła, co w połączeniu z okrągłością jego brzucha wyglądało bardzo dziwacznie. Ale przebywając wciąż razem nie spostrzegali zmian, jakie zachodziły w ich wyglądzie, a także i usposobieniu.

Minęło tak pięć miesięcy.

Gdy pewnego ranka Kayerts i Carlier wyciągnięci w fotelach na werandzie mówili o zbliżających się odwiedzinach parowca, grupa zbrojnych ludzi wyszła z lasu i zbliżyła się do stacji. Byli to obcy Murzyni z innej części kraju. Wysocy, smukli, spowici od stóp do głów w niebieskie płótno z frędzlami ułożone w klasyczne fałdy, uzbrojeni byli w rusznice zawieszone na obnażonym prawym ramieniu. Makola ujawnił podniecenie i wybiegł ze składu (gdzie spędzał całe dnie) na spotkanie gości. Weszli na dziedziniec i spoglądali wokoło spokojnym, — pogardliwym wzrokiem.

Ich wódz — potężny Murzyn o zdecydowanym wyglądzie i oczach krwią nabiegłych — stanął przed werandą i wygłosił długą mowę. Wymachiwał przy tym rękami i skończył niespodzianie.

W jego intonacji i brzmieniu długich okresów dźwięczało coś, co uderzyło obu białych. Było to niby przypomnienie czegoś niekoniecznie znanego, a jednak podobnego do mowy ludzi cywilizowanych. Słowa Murzyna brzmiały jak słowa jednego z tych niesamowitych języków, które zdarza się nam czasem słyszeć w snach.

— Cóż to za szwargot? — rzekł zdumiony Carlier. — W pierwszej chwili wydało mi się, że ten drab mówi po francusku. W każdym razie to zupełnie inny żargon niż wszystkie, któreśmy kiedykolwiek słyszeli.

— Tak — odparł Kayerts. — Ty, Makola, co on tam mówi? Skąd przychodzą? Co to za jedni?

Ale Makola, który stał jak na rozżarzonych węglach, odrzekł spiesznie:

— Nie wiem. Przychodzą z bardzo daleka. Może pani Price ich zrozumie. To są może źli ludzie.

Wódz poczekawszy chwilę rzekł coś ostro do Makoli, który potrząsnął głową. Obcy rozejrzał się wokoło, zauważył szopę Makoli i ruszył ku niej. W następnej chwili usłyszano głos pani Makola przemawiającej z wielką płynnością. Pozostali goście — było ich wszystkich sześciu — wałęsali się bezceremonialnie po dziedzińcu, wtykali głowy przez drzwi składu, obstąpili grób białego, wskazując znacząco na krzyż i w ogóle czuli się jak w domu.

— Nie podobają mi się te dranie i — wiesz co, Kayerts — oni muszą pochodzić z wybrzeża; mają broń palną — zauważył sprytny Carlier.

Kayertsowi te dranie nie podobały się również. Obaj po raz pierwszy zdali sobie sprawę, że żyją w okolicznościach, w których niezwykłość może być niebezpieczna, i że poza nimi dwoma nie ma na ziemi żadnej siły, która mogłaby odgrodzić ich od tej niezwykłości. Weszli do domu zaniepokojeni i nabili rewolwery. Kayerts rzekł:

— Musimy powiedzieć Makoli, żeby kazał im pójść precz, nim się ściemni.

Obcy ludzie odeszli po południu, zjadłszy posiłek przygotowany przez panią Makola. Olbrzymia kobieta była bardzo podniecona i dużo z gośćmi rozmawiała. Terkotała ostrym głosem, pokazując tu i tam na lasy i rzekę. Makola siedział na uboczu i śledził rozmowę. Niekiedy wstawał i szeptał coś żonie do ucha. Odprowadził obcych aż poza wąwóz leżący w tyle na granicy gruntów stacyjnych i powrócił wolnym krokiem pogrążony w głębokiej zadumie. Gdy biali zwrócili się do niego z pytaniami, zachował się bardzo dziwnie; zdawało się, że nic nie rozumie, że zapomniał po francusku, że w ogóle zapomniał mówić. Kayerts i Carlier zauważyli zgodnie, że Murzyn wypił za wiele palmowego wina.

Wprawdzie była mowa o tym, że trzeba by trzymać kolejno wartę, ale wieczorem wszystko wyglądało tak spokojnie i cicho, że poszli spać jak zwykle. Przez całą noc przeszkadzało im dudnienie bębnów po wioskach. Gdzieś,

w pobliżu rozlegał się głęboki, szybki łoskot — odpowiadał mu drugi w oddali — i zapadała cisza. Wkrótce krótkie pobudki odzywały się znowu tu i tam, zlewały się i rozrastały, potężniejąc w silny i przeciągły warkot, który wypływał z lasu, toczył się w ciemnościach, ciągły i nieustanny, bliski i daleki — jak gdyby cały świat był jednym olbrzymim bębnem huczącym bez przerwy wezwanie do niebios. A poprzez ten głęboki i potężny hałas nagłe wrzaski, podobne do śpiewów buchających z domu wariatów, przedzierały się w ostrych, zgrzytliwych wytryskach, sięgając wysoko ponad ziemię i niwecząc wszelki spokój pod gwiazdami.

Kayerts i Carlier źle spali tej nocy. Zdawało im się, że słyszą wystrzały, ale nie mogli ustalić, w jakim kierunku. Rano nie było Makoli. Wrócił około południa w towarzystwie jednego z wczorajszych przybyszów i wymykał się wciąż Kayertsowi, który ani rusz nie mógł się z nim rozmówić; zdawało się, że Makola ogłuchł. Kayerts bardzo się temu dziwował. Carlier, który łowił ryby na wybrzeżu, wrócił tymczasem i rzekł, pokazując swój połów:

— Jakieś piekielne dzisiaj poruszenie wśród tych Murzynów; ciekaw jestem, co się tam święci. Z piętnaście łodzi przebyło rzekę podczas tych dwóch godzin, kiedy łowiłem ryby.

Strapiony Kayerts odezwał się: — Ten Makola… czy nie dziwnie dziś wygląda?

Carlier doradził: — Trzymaj w kupie wszystkich naszych ludzi, bo nuż się coś wydarzy.

II

Na stacji było dziesięciu robotników, których tu zostawił dyrektor. Ci ludzie zgodzili się do *Spółki* na przeciąg sześciu miesięcy (nie mając żadnego wyobrażenia, czym jest miesiąc w szczególności i bardzo słabo zdając sobie sprawę z pojęcia czasu w ogóle) — a służyli już sprawie postępu więcej niż dwa lata. Należeli do plemienia osiadłego w bardzo odległej części tej krainy smutku i ciemności i nie mogli uciec, przypuszczając że tuziemcy zabiliby ich jako obcych wędrowców — w czym się bynajmniej nie mylili. Mieszkali w słomianych szałasach na stoku wąwozu zarośniętego trzciniastą trawą, tuż za budynkami. Nie czuli się szczęśliwi; żałowali świątecznych obrzędów, czarów i ofiar z ludzi, które były w zwyczaju w ich ojczyźnie, gdzie mieli także rodziców, braci, siostry, uwielbianych wodzów, szanowanych czarowników, bliskich przyjaciół oraz inne związki uznane na ogół za ludzkie. W dodatku porcje ryżu wydzielane przez *Spółkę* nie służyły im, ponieważ do pokarmu, którego w ojczyźnie nie znali, nie mogli się przyzwyczaić. Byli więc niezdrowi i nieszczęśliwi. Gdyby należeli do innego plemienia, wybraliby śmierć, aby uciec od powikłanych trudności życia — bo dla niektórych dzikich nie ma nic łatwiejszego od samobójstwa. Ale że należeli do wojowniczego plemienia o spiłowanych zębach, odznaczali się przeto większą

odpornością i wlekli ogłupiały żywot wśród chorób i smutku. Pracowali niedołężnie i stracili swój wspaniały wygląd. Carlier i Kayerts leczyli ich wytrwale, nie mogąc doprowadzić ich do dawnego stanu. Kazali im co dzień odbywać musztrę i wyznaczali różne prace, jak żęcie trawy, budowanie płotów, ścinanie drzew i tak dalej; do porządnego wykonania tych prac żadna siła ziemska nie była w stanie ich zmusić. W gruncie rzeczy dwaj biali nie mieli na nich sposobu.

Makola przyszedł po południu do dużego domu i zastał Kayertsa śledzącego trzy ciężkie słupy dymu wznoszące się nad lasami.

— Co to takiego? — spytał Kayerts.

— Jakieś wioski się palą — odpowiedział Makola, który zdawał się odzyskiwać przytomność. Potem rzekł nagle: — Mamy bardzo mało kości słoniowej; handel źle szedł przez sześć miesięcy. Czy pan chce dostać więcej kości słoniowej?

— Tak — odrzekł skwapliwie Kayerts. Myślał o prowizji, która była mała.

— Ci ludzie, którzy przyszli tu wczoraj, to kupcy z Loandy; mają bardzo dużo kości słoniowej, więcej niż mogą udźwignąć w drodze do domu. Czy mam od nich kupić? Wiem, gdzie jest ich obóz.

— Naturalnie — rzekł Kayerts. — Kto to są ci kupcy?

— To źli ludzie — odrzekł obojętnie Makola. — Biją się z krajowcami, łapią kobiety i dzieci. To bardzo źli ludzie i mają strzelby. Wielki zamęt jest naokoło. Czy chce pan kupić kości słoniowej?

— Tak — odrzekł Kayerts.

Makola przez chwilę nic nie mówił.

— Ci nasi robotnicy są do niczego — mruknął, rozglądając się wokoło. — Stacja w wielkim nieporządku. Dyrektor będzie się gniewał. Dobrze byłoby dostać piękną porcję kości słoniowej — wtedy dyrektor nic nie powie.

— Cóż na to mogę poradzić? Ludzie nie chcą pracować — rzekł Kayerts. — Kiedy dostaniesz tę kość słoniową?

— Bardzo prędko — odparł Makola. — Może dziś w nocy. Niech się pan już na mnie spuści[8] i nie wychodzi wcale z domu. Może by pan dał naszym ludziom palmowego wina, to urządzą sobie tańce dziś wieczorem. Zabawią się. Jutro będą lepiej pracować. Jest dużo wina — trochę nawet skwaśniało.

Kayerts zgodził się na to i Makoia zaniósł własnoręcznie wielkie tykwy[9] do drzwi swojej szopy. Stały tam do wieczora i pani Makola zaglądała do każdej z nich. Ludzie stacyjni dostali je wieczorem. Wielkie ognisko paliło się przed ich szałasami, gdy Carlier i Kayerts poszli się położyć. Słyszeli okrzyki i bicie w bęben. Kilku ludzi Gobili przyłączyło się do robotników i zabawa szła w najlepsze.

W środku nocy Carlier obudził się nagle i usłyszał jakiś głośny krzyk; potem rozległ się wystrzał. Jeden jedyny. Carlier wybiegł i spotkał się na werandzie z Kayertsem. Obaj byli przestraszeni. Gdy szli przez dziedziniec ku szopie Makoli, ujrzeli cienie poruszające się w ciemnościach. Jeden z tych cieni krzyknął: — Nie strzelajcie! To ja, Price — i Makola pojawił się tuż przy nich.

— Wracajcie, panowie, wracajcie — nalegał — zepsujecie wszystko.

— Tu są jacyś obcy ludzie — rzekł Carlier. — To nic; wiem o tym — odparł Makola. Potem szepnął: — Wszystko w porządku. Przynieśli kość słoniową. Nie mówcie nic! Wiem, co robię.

Dwaj biali wrócili niechętnie do domu, ale spać już nie. mogli. Słyszeli jakieś kroki, szepty, jęki. Zdawało im się, że gromada ludzi weszła na dziedziniec, że ciśnięto na ziemię jakieś ciężkie przedmioty, potem swarzono się długi czas, wreszcie nastała cisza. Kayerts i Carlier leżeli na swoich twardych łóżkach myśląc: — Ten Makola jest nieoceniony. — Rano Carlier wyszedł z domu bardzo zaspany i pociągnął za sznur wielkiego dzwonu. Służba stacyjna odbywała musztrę co dzień przy dźwiękach dzwonu. Ale tego ranka nikt się nie stawił. Kayerts pojawił się na werandzie, ziewając. Widzieli, jak Makola wyszedł ze swojej szopy, niosąc cynową miednicę z brudną wodą. Makola, Murzyn cywilizowany, mył się zawsze bardzo porządnie. Wylał zręcznie mydliny na nędznego żółtego pieska, który chował się przy jego szopie, i zwróciwszy twarz w stronę domu agentów, krzyknął z daleka:

— Wszyscy ludzie uciekli dziś w nocy!

Słyszeli go wyraźnie, ale obaj krzyknęli w zdumieniu: — Co takiego?! — Potem przez chwilę wpatrywali się w siebie nawzajem:

— Ładna historia — warknął Carlier.

— To nie do wiary! — mruknął Kayerts.

— Pójdę do szałasów i zobaczę — rzekł Carlier, ruszając z miejsca wielkimi krokami.

Makola zbliżył się i zastał samego Kayertsa.

— Nie mogę w to uwierzyć — rzekł płaczliwie Kayerts. — Pielęgnowaliśmy ich jak własne dzieci!

— Odeszli z ludźmi z wybrzeża — powiedział Makola po chwili namysłu.

— Co mnie to może obchodzić, z kim odeszli — niewdzięczne bestie! — wykrzyknął Kayerts. Nagle błysnęło mu podejrzenie i dodał, patrząc bystro na Makolę:

— A ty co wiesz o tym?

Makola wzruszył ramionami patrząc w ziemię.

— Co ja wiem? Ja się tylko domyślam. Chce pan obejrzeć kość słoniową — o, tam leży. Coś wspaniałego. Nigdy pan takiej nie widział.

Ruszył w stronę składu. Kayerts szedł za nim machinalnie, rozmyślając o niewiarogodnej ucieczce robotników. Przed drzwiami fetysza leżało na ziemi sześć wspaniałych kłów.

— Co im dałeś za to? — spytał Kayerts, obejrzawszy nabytek z zadowoleniem.

— To nie był zwyczajny handel — odrzekł Makola. — Przynieśli kość słoniową i oddali mi ją. Powiedziałem, żeby wzięli sobie ze stacji to, czego najbardziej potrzebują. To wspaniała kość. Żadna stacja nie może się pochwalić takimi kłami. Ci kupcy potrzebowali gwałtem tragarzy, a nasi ludzie nic tu nie robili. Ja kłów nie kupiłem, nie trzeba wciągać do ksiąg. Wszystko w porządku.

Kayerts o mało co nie pękł z oburzenia.

— Co takiego? — krzyknął. — Sprzedałeś po prostu naszych ludzi za te kły!

Makola milczał obojętnie.

— Ja ciebie — ja — ja — bełkotał Kayerts. — Ty czarcie przeklęty! — wrzasnął.

— Zrobiłem, co mogłem dla pana i dla *Spółki* — rzekł niewzruszony Makola. — Dlaczego pan tak krzyczy? Niech pan spojrzy na ten kieł.

— Odprawiam cię! Doniosę dyrektorowi — ani myślę patrzeć na ten kieł. Nie wolno ci tego dotykać. Rozkazuję wrzucić to do rzeki. Ty — ty —

— Pan jest bardzo czerwony, panie Kayerts. Jak się pan będzie tak irytował na słońcu, dostanie pan febry i umrze — tak jak pierwszy naczelnik — wypowiedział z naciskiem Makola.

Stali w milczeniu, patrząc na siebie z natężeniem, jak gdyby usiłowali dojrzeć coś z wielkiej odległości. Kayerts wzdrygnął się, Makola miał na myśli tylko to, co powiedział, ale słowa jego wydały się Kayertsowi pełne złowrogiej groźby. Odwrócił się nagle i poszedł ku domowi. Makola wycofał się na łono rodziny, a kły pozostawione przed składem leżały w blasku słonecznym, wielkie i drogocenne.

Carlier wrócił na werandę.

— Uciekli wszyscy, co? — odezwał się głuchy głos Kayertsa z głębi wspólnego pokoju. — Nikogo nie znalazłeś?

— O tak — odrzekł Carlier — znalazłem jednego z ludzi Gobili; leży martwy przed szałasami — przestrzelili go na wskroś. Słyszeliśmy ten strzał dziś w nocy.

Kayerts wyszedł szybko na werandę. Zastał towarzysza patrzącego ponuro na dziedziniec w stronę kłów leżących w oddali przed składem. Przez chwilę siedzieli obaj w milczeniu. Potem Kayerts opowiedział swoją rozmowę z Makolą. Carlier nic nie odrzekł. Przy śniadaniu jedli bardzo mało. Przez resztę dnia zamienili ledwie parę słów. Głucha cisza zdawała się ciążyć nad stacją i zaciskać im wargi. Makola nie otworzył składu; spędził dzień na zabawie z dziećmi. Leżał wyciągnięty na macie przed drzwiami swojego domku, a dzieciaki siedziały mu na piersiach i łaziły po nim. Był to obraz wzruszający. Pani Makola zajęta była przez cały dzień gotowaniem, tak jak i zwykle. Biali zjedli wieczerzę z nieco lepszym apetytem. Potem Carlier paląc fajkę i przechadzając się po dziedzińcu, dotarł aż do składu; stał przez długi czas nad kłami, dotknął nogą jednego czy dwóch, a nawet usiłował podnieść największy, chwytając za cienki koniec. Wrócił do swego naczelnika siedzącego wciąż na werandzie, rzucił się na krzesło i rzekł:

— Już wiem, jak to się stało! Napadli ich, leżących w ciężkim śnie po wypiciu wszystkiego tego wina, które pozwoliłeś wziąć Makoli. To była zasadzka — rozumiesz? Najgorsze to, że było tam kilku ludzi Gobili — z pewnością uprowadzili ich także. Najmniej pijany ze wszystkich

obudził się i został zastrzelony w nagrodę za wstrzemięźliwość. Dziwny kraj. Co teraz zrobisz?

— Nie możemy tego dotknąć, naturalnie — rzekł Kayerts.

— Naturalnie, że nie — potwierdził Carlier.

— Niewolnictwo to okropna rzecz — wybełkotał Kayerts niepewnym głosem. — Straszna! Co za cierpienia — mruknął Carlier z przekonaniem.

Wierzyli święcie w swoje słowa. Każdy człowiek ma względy i szacunek dla pewnych słów, które on i jego bliźni wymawiają. Ale o uczuciach ludzie naprawdę nie nie wiedzą. Mówimy z oburzeniem albo zapałem; rozprawiamy o ucisku, okrucieństwie, zbrodni, poświęceniu, wyrzeczeniu się, cnocie — i nikt z nas nie wie, co znaczą te słowa. Nikt nie wie, co znaczy cierpienie albo wyrzeczenie się — może tylko ludzie, co padają ofiarą tajemnych celów, do których wiodą te złudzenia.

Następnego ranka zobaczyli, że Makola krząta się gorliwie na dziedzińcu, ustawiając wielką wagę do ważenia kości słoniowej. Po niejakim czasie Carlier rzekł: — Co też ten łajdak tam majstruje? — i zaczął wałęsać się po podwórzu. Kayerts poszedł za nim. Przystanęli obok wagi, przypatrując się Makoli. Nie zwracał na nich żadnej uwagi. Kiedy waga została zawieszona jak należy, spróbował podnieść kieł, aby go położyć na szali. Za ciężki był jednak. Spojrzał w górę bezradnie, nic nie mówiąc i przez minutę stali koło wagi, milczący i nieruchomi jak trzy posągi. Nagle Carlier rzekł: — Bierz za drugi koniec, Makola, draniu jeden! — i podnieśli kieł wspólnymi siłami. Kayerts drżał na

całym ciele. Mruczał pod nosem: — No, no, doprawdy! — Włożywszy rękę do kieszeni, znalazł tam brudny kawałek papieru i ogryzek ołówka. Odwrócił się plecami, jakby chciał ukryć jakieś szachrajstwo, i notował ukradkiem cyfry, które Carlier wygłaszał, podnosząc głos niepotrzebnie. Kiedy już wszystko było zważone, Makola szepnął do siebie: — Słońce pali tu strasznie mocno — to niedobrze dla kłów. — Carlier rzekł niedbale do Kayertsa: — Wiesz co, naczelniku, mógłbym właściwie pomóc mu wnieść to do składu.

Gdy wracali do domu, Kayerts zauważył z westchnieniem: — Musieliśmy to zrobić. — A Carlier rzekł: — To jest doprawdy okropne, ale ponieważ ludzie należeli do *Spółki*, więc i kość słoniowa należy do *Spółki*. Musimy jej pilnować. — Oczywiście zdam z tego sprawę dyrektorowi — rzekł Kayerts. — Naturalnie, niech on sam rozstrzygnie — przytakiwał Carlier.

W południe zabrali się z apetytem do śniadania. Kayerts wzdychał od czasu do czasu. Gdy imię Makoli pojawiało się w rozmowie, dodawali do niego obelżywy epitet. Przynosiło to ulgę ich sumieniom. Makola urządził sobie po południu święto i kąpał dzieci w rzece. Tego dnia nikt z wiosek Gobili nie znalazł się w pobliżu stacji. Nazajutrz także nikt nie przyszedł ani dnia następnego, ani przez cały tydzień. Zdawało się, że poddani Gobili wymarli i zostali pochowani, gdyż nie dochodził stamtąd najlżejszy przejaw życia. Ale lud obchodził tylko żałobę po rodakach zgładzonych przez czary białych ludzi, którzy ściągnęli złych ludzi do ich kraju.

Źli ludzie odeszli, ale lęk pozostał. Lęk pozostaje zawsze. Człowiek może zniszczyć w sobie wszystkie uczucia — miłość i nienawiść, i wiarę, i nawet zwątpienie; ale póki lgnie do życia, nie może zniszczyć lęku, przebiegłego, niezniszczalnego i straszliwego lęku, który przenika całe jestestwo, który zabarwia myśli, który czyha na dnie serca, który śledzi na ludzkich wargach walkę ostatniego tchnienia. Łagodny starzec Gobila ogarnięty lękiem składał specjalne ofiary z ludzi wszystkim złym duchom, które zawładnęły jego białymi przyjaciółmi. Ciężko mu było na sercu. Niektórzy z wojowników mówili o paleniu i zabijaniu, ale przezorny starzec odwiódł ich od tego. Któż mógł przewidzieć niedolę, jaką byłyby zdolne sprowadzić te tajemnicze istoty, gdyby je podrażniono. Należy zostawić je w spokoju. Może z czasem znikną w ziemi jak ta pierwsza biała istota. Lud Gobili powinien trzymać się od nich z daleka i żywić nadzieję, że wszystko skończy się jak najlepiej.

Ale Kayerts i Carlier nie znikli; pozostali na powierzchni tej ziemi, która wydawała im się teraz jakby większa i bardziej pusta — nie z powodu otaczającej ich samotności, zupełnej i głuchej. Wrażenie, któremu ulegli, zrodziło się ze świadomości raczej mętnej, że znikło z ich duszy coś nieuchwytnego — coś, co pracowało dla ich bezpieczeństwa i wstrzymywało dzicz od wtargnięcia w ich serca. Obrazy domu, pamięć o ludziach im podobnych, o ludziach, którzy czuli i myśleli, jak oni zwykli byli czuć i myśleć — cała ta przeszłość cofnęła się gdzieś daleko i zmętniała w blasku

słońca nie przesłoniętego nigdy chmurami. A z otaczającej ich dzikiej, niemej głuszy właściwa jej beznadziejność i barbarzyństwo zdawały się wysuwać i zbliżać, przyciągać ich, patrzeć na nich, otaczać ich opieką, nieodpartą, poufałą i wstrętną.

Dni wydłużały się w tygodnie, tygodnie w miesiące. Ludzie Gobili bębnili i wrzeszczeli do każdego księżyca na nowiu, jak i dawniej, ale trzymali się od stacji z daleka. Makola i Carlier wyruszyli raz czółnem do jednej z wiosek, aby znów nawiązać stosunki, lecz zostali przywitani deszczem strzał i musieli co tchu uciekać, aby ujść z życiem. Ta wycieczka wznieciła niepokój nad dolną i górną rzeką — wzburzenie ludności przejawiało się wyraźnie przez szereg dni. Parowiec spóźniał się. Z początku Carlier i Kayerts mówili wesoło o tym opóźnieniu, potem ogarnął ich niepokój, a wreszcie zgnębienie. Sytuacja stała się poważna. Zapasy się kończyły. Carlier zarzucał z brzegu wędkę, ale woda w rzece opadła i ryby trzymały się środka łożyska. Nie śmieli zapuszczać się daleko od stacji na polowanie. A przy tym w nieprzebytym lesie trudno było o zwierzynę. Carlier zastrzelił raz płynącego rzeką hipopotama. Nie mieli dość wielkiej łodzi, aby zabezpieczyć go od utonięcia i poszedł na dno. Kiedy znów wypłynął, prąd uniósł go daleko i cielsko zostało wyłowione przez ludzi Gobili. Była to dla nich okazja do uroczystego obchodu narodowego, ale Carlier dostał napadu wściekłości i rozwodził się nad koniecznością wytępienia wszystkich Murzynów, aby można było wyżyć

w tym kraju. Kayerts wałęsał się w milczeniu; spędzał całe godziny, wpatrując się w fotografię swojej Melie. Fotografia przedstawiała dziewczynkę o długich, wyblakłych warkoczach i nieco kwaśnym wyrazie twarzy. Nogi Kayertsa były bardzo spuchnięte, chodził z wielką trudnością. Carlier osłabiony przez febrę nie spacerował już po zawadiacku, tylko łaził chwiejnym krokiem, zachowując jeszcze minę wyzywającą, jak przystało na człowieka, który pamiętał swój szykowny pułk. Stał się opryskliwy, sarkastyczny i skłonny do mówienia przykrych rzeczy. Uważał to za „szczere postępowanie”. Obaj obliczyli już dawno swoje procenty z handlu, włączywszy do ogólnej sumy ostatni nabytek „tego niecnego Makoli”. Postanowili nic o tej sprawie nie mówić. Kayerts wahał się z początku ze strachu przed dyrektorem.

— Nie bój się — widział on i gorsze sprawki uknute po kryjomu — utrzymywał Carlier, śmiejąc się chrapliwie. — Nie podziękuje ci za to, że się wygadasz. Nie jest lepszy ani od ciebie, ani ode mnie. Kto mu doniesie, jeżeli będziemy trzymać język za zębami?

Otóż to właśnie! Poza nimi nie było tam nikogo; i — pozostawieni sam na sam ze swoją słabością — stawali się we wzajemnym stosunku z dnia na dzień bardziej podobni do współwinowajców niż do przyjaciół. Od ośmiu miesięcy nie mieli z domu żadnych wiadomości. Każdego wieczoru mówili: — Jutro przypłynie parowiec. — Ale jeden z parowców *Spółki* rozbił się i zatonął, a dyrektor jeździł na drugim, odwiedzając bardzo odległe i ważne stacje na

głównej rzece. Uważał, że bezużyteczna stacja i bezużyteczni ludzie mogą poczekać. A tymczasem Kayerts i Carlier żywili się ryżem gotowanym bez soli i przeklinali *Spółkę*, całą Afrykę i dzień swego urodzenia. Trzeba samemu przejść taką dietę, aby przekonać się, jak dotkliwą przykrością może się stać przełknięcie pożywienia. Na stacji nie było dosłownie nic poza ryżem i kawą; a kawę pili bez cukru. Ostatnie piętnaście kawałków zamknął Kayerts uroczyście w swojej skrzynce obok małej butelki koniaku; — na wypadek choroby — objaśnił. Carlier był tego samego zdania. — Kiedy się jest chorym — oświadczył — każdy taki nadprogramowy kąsek dodaje otuchy.

Czekali. Bujna trawa puściła się na dziedzińcu. Dzwon nigdy się już nie odzywał. Mijały dni — ciche, powolne i rozjątrzające. Każde słowo agentów brzmiało teraz jak warknięcie, a milczenie ich stało się gorzkie, jakby przesiąknięte goryczą myśli.

Pewnego dnia po śniadaniu złożonym z gotowanego ryżu Carlier postawił na stole nietkniętą filiżankę i rzekł:

— Do diabła z tym wszystkim! Wypijmy choć raz przyzwoitą filiżankę kawy. Kayerts, wydostań ten cukier!

— Cukier jest dla chorych — odmruknął Kayerts, nie podnosząc oczu.

— Dla chorych! — przedrzeźniał Carlier. — Bzdury! No więc ja jestem chory.

— Nie jesteś bardziej chory ode mnie, a ja się bez cukru obywam — rzekł Kayerts pojednawczym tonem.

— Dawaj mi tu ten cukier — ty stary sknero! Handlarzu niewolników!

Kayerts podniósł szybko oczy. Carlier uśmiechał się z wyraźną zuchwałością. I nagle wydało się Kayertsowi, że nie widział nigdy przedtem tego człowieka. Kto to jest? Nic o nim nie wiedział. Do czego był zdolny? Błyskawica gwałtownego, zdumiewającego wzruszenia przeszyła Kayertsa, jak w chwili niesłychanej, groźnej i ostatecznej. Ale zdołał wymówić ze spokojem:

— To żart w bardzo złym guście. Nie powtarzaj go.

— Żart! — rzekł Carlier, wysuwając się na brzeg krzesła. — Jestem głodny, jestem chory i nie myślę żartować. Nienawidzę obłudy. Jesteś obłudnikiem. Jesteś handlarzem niewolników. Ja jestem także handlarzem niewolników. Prócz handlu niewolnikami nie ma nic w tym przeklętym kraju. Chcę mieć dziś cukier do kawy i koniec!

— Zakazuję ci mówić do mnie w ten sposób — rzekł Kayerts ze stanowczością.

— Ty!... Co takiego? — krzyknął Carlier, zrywając się z krzesła.

Kayerts wstał również.

— Jestem twoim zwierzchnikiem — zaczął — starając się opanować drżący głos.

— Co? — wrzasnął tamten. — Kto jest zwierzchnikiem? Tu nie ma żadnego zwierzchnika. Nie ma nikogo; tu nie ma nikogo prócz mnie i ciebie. Jazda po cukier — ty brzuchaty ośle!

— Milcz! Wynoś się stąd! — krzyknął piskliwie Kayerts. — Odprawiam cię ty — ty łajdaku!

Carlier porwał za krzesło. Wyglądał teraz naprawdę niebezpiecznie.

— Ty flaku, ty nędzny cywilu — masz! — ryknął.

Kayerts schował się pod stół i krzesło uderzyło o trzcinową ścianę. Gdy Carlier usiłował stół obalić, Kayerts rzucił się w rozpaczy na oślep, z głową spuszczoną jak osaczona świnia; przewróciwszy Carliera wypadł na werandę i wbiegł do swego pokoju. Zamknął drzwi na klucz, porwał rewolwer i stał dysząc. Nie upłynęła minuta, gdy Carlier jął[10] kopać wściekle w drzwi rycząc:

— Jeśli mi nie dasz cukru, zastrzelę cię jak psa. No! Raz — dwa — trzy... Nie chcesz? Pokażę ci, kto tu panem!

Kayerts pomyślał, że drzwi za chwilę ustąpią i wylazł przez kwadratową dziurę, która służyła za okno. Teraz dzieliła ich cała szerokość domu. Ale tamten był widać za słaby, aby drzwi wywalić i Kayerts usłyszał, że biegnie naokoło. Wówczas i on zaczął biec mozolnie na spuchniętych nogach. Biegł ze wszystkich sił, ściskając w dłoni rewolwer i wciąż nie mógł jeszcze zrozumieć, co się z nim dzieje. Widział kolejno domek Makoli, skład, rzekę, wąwóz, niskie krzaki; i znów zobaczył to wszystko, biegnąc po raz drugi naokoło domu. I jeszcze raz mignęło to samo przed jego oczyma. Tego ranka nie byłby mógł przejść bez stękania nawet i paru kroków. A teraz biegł. I to biegł dość szybko, aby ukryć się przed wzrokiem tamtego.

Wreszcie, goniąc resztkami sił, pomyślał w ostatecznej rozpaczy: — Umrę, a nie potrafię obiec jeszcze raz w koło — i w tejże chwili usłyszał, że Carlier potknął się ciężko i stanął. Kayerts zatrzymał się także. Znajdował się przy tylnej ścianie domu, a tamten przy frontowej, tak jak przedtem. Usłyszał, że Carlier pada na krzesło, przeklinając i nagle nogi ugięły się pod nim; osunął się na ziemię z plecami opartymi o ścianę. Usta miał suche jak żużel, a twarz mokrą od potu — i łez. O co im poszło? Pomyślał, że to chyba straszne złudzenie; pomyślał, że przeżywa to we śnie; pomyślał, że dostaje pomieszania zmysłów! Po chwili opamiętał się. O co się właściwie pokłócili? O ten cukier? Cóż za idiotyzm! Ależ da mu ten cukier — nie potrzebuje tego cukru. I zaczął dźwigać się, ogarnięty nagłym poczuciem bezpieczeństwa. Ale zanim jeszcze stanął na nogach, odruch zdrowego rozsądku pogrążył go znowu w rozpaczy. Pomyślał: — Jeśli ustąpię teraz temu rozbestwionemu żołdakowi, jutro zaczną się te same okropności — i pojutrze — i następnego dnia — i ciągle. — Będzie występował z coraz to innymi pretensjami, podepcze mnie, zadręczy, zrobi ze mnie swojego niewolnika — i będę zgubiony! Zgubiony! Parowiec nadejdzie może za wiele dni — może nigdy nie nadejdzie. — Trząsł się tak silnie, że musiał znów usiąść na ziemi. Dygotał bezradnie. Czuł, że nie może i nie chce się już ruszyć. Odchodził od zmysłów, pojąwszy nagle, że znalazł się w położeniu bez wyjścia, że śmierć i życie stały się w mgnieniu oka jednako trudne i straszne.

Nagle usłyszał, że tamten odsuwa krzesło — i skoczył na równe nogi z niezmierną łatwością. Nasłuchiwał pilnie. Przejął go wstyd; znów musi biegnąć! Na prawo czy na lewo? Usłyszał kroki. Rzucił się na lewo, ściskając rewolwer i w tejże samej chwili wydało mu się, że się zderzyli gwałtownie. Huknął strzał; buchnął czerwony płomień, gęsty dym; Kayerts ogłuszony, oślepiony, rzucił się do ucieczki, myśląc: — Jestem raniony, już po mnie. — Myślał, że tamten go dopędzi, aby napawać się jego agonią. Chwycił się słupa podtrzymującego dach. — Już po wszystkim! — Nagle usłyszał, że ktoś zwalił się z łoskotem po drugiej stronie, jakby natknąwszy się na oślep na krzesło — potem uczyniła się cisza. Nie stało się nic więcej. Kayerts nie umarł. Tylko czuł, że ramię ma boleśnie poturbowane, i spostrzegł, że zgubił rewolwer. Był bezradny i bezbronny. Czekał na swój los. Tamten nie odzywał się wcale. To podstęp. Pewno skrada się do niego! Którędy? Może bierze go w tej chwili na cel? Po krótkiej chwili męki, straszliwej i bezsensownej, postanowił stawić czoło losowi. Gotów był poddać się wszystkiemu. Obszedł róg domu opierając się ręką o ścianę, postąpił jeszcze kilka kroków — ledwie nie zemdlał. Zobaczył na podłodze werandy wystające zza drugiego węgła stopy leżącego człowieka, białe, nagie stopy w czerwonych pantoflach. Uczuł się śmiertelnie chory i przez chwilę stał w głębokim mroku. Nagle Makola zjawił się przed nim i rzekł spokojnie:

— Niech pan tu przyjdzie, panie Kayerts. On nie żyje.

Kayerts wybuchnął łzami wdzięczności — głośnym płaczem i szlochaniem. Po pewnym czasie zorientował się, że siedzi na krześle i patrzy na Carliera, który leży na wznak wyciągnięty na podłodze. Makola klęczał obok ciała.

— Czy to pana rewolwer? — spytał, powstając.

— Tak — odrzekł Kayerts i dodał natychmiast: — Biegł za mną, żeby mnie zabić — widziałeś!

— Tak, widziałem — odrzekł Makola. — Tu jest tylko jeden rewolwer; gdzie drugi?

— Nie wiem — szepnął Kayerts osłabłym nagle głosem.

— Pójdę i poszukam — rzekł tamten łagodnie.

Obszedł dom wokoło, a Kayerts siedział nieruchomo i patrzył na trupa. Makola wrócił z pustymi rękami; chwilę stał pogrążony w myślach, potem wszedł spokojnie do pokoju zmarłego, wrócił natychmiast z rewolwerem i pokazał go Kayertsowi. Kayerts zamknął oczy. Wszystko zawirowało naokoło niego. Poznał, że życie straszniejsze jest i trudniejsze niż śmierć. Zastrzelił bezbronnego człowieka.

Makola namyślał się przez chwilę i rzekł cicho wskazując umarłego, który leżał z przestrzelonym prawym okiem:

— Umarł na febrę. — Kayerts utkwił kamienny wzrok w Murzynie. Tak — powtórzył Makola — w zadumie przestępując przez trupa — umarł na febrę. Pochowamy go jutro.

I poszedł zwolna do oczekującej go żony, zostawiając obu białych na werandzie.

Nadeszła noc, a Kayerts wciąż siedział bez ruchu. Siedział spokojnie, jak po zażyciu opium. Gwałtowność wzruszeń, które przeżył, wywołała w nim uczucie wyczerpania i pogody. W jedno krótkie popołudnie zgłębił do dna zgrozę i rozpacz i znalazł wreszcie spokój w przeświadczeniu, że życie nie ma już dla niego tajemnic: tak, jak i śmierć. Siedział przy trupie i myślał — myślał bardzo intensywnie, myślał zupełnie nowymi myślami. Miał wrażenie, że oderwał się od siebie najzupełniej. Dawne jego myśli, przekonania, sympatie, rzeczy, które szanował i rzeczy, których nienawidził, ukazały mu się nareszcie w prawdziwym świetle! Uznał je za dziecinne i godne pogardy, fałszywe i śmieszne. Rozkoszował się swą nową wiedzą, siedząc przy człowieku, którego zabił. Rozprawiał ze sobą o wszystkich rzeczach pod słońcem z przewrotną jasnością myśli, właściwą niektórym obłąkanym. Przyszło mu do głowy, że nieboszczyk był bezsprzecznie szkodliwą bestią; że ludzie umierają co dzień tysiącami; może i setkami tysięcy — któż to wie? — i że w ogólnej sumie ta jedna śmierć nie mogła zaważyć, nie mogła mieć żadnego znaczenia — przynajmniej dla istoty myślącej. On, Kayerts jest istotą myślącą. Przez całe życie aż do tej chwili wierzył w masę głupstw, podobnie jak i reszta ludzkości, która składa się z głupców; ale teraz zgłębił już wszystko! Poznał już wszystko! Zdobył spokój; spoufalił się z najwyższą mądrością!

Usiłował wyobrazić sobie, że to on, Kayerts, nie żyje, a Carlier siedzi na krześle i patrzy na niego; i udało mu się

to tak niespodziewanie, że już po krótkiej chwili wcale nie był pewien, który z nich jest żywy, a który umarły. Ta nadzwyczajna sprawność wyobraźni przeraziła go jednak — zręcznym wysiłkiem woli uratował się w porę od stania się Carlierem. Serce waliło mu jak młotem, war go oblał na myśl o tym niebezpieczeństwie. Stać się Carlierem! Okropność! Spróbował gwizdać, aby uspokoić rozstrojone nerwy — nic dziwnego, że rozstrojone! Potem nagle usnął, czy też zdawało mu się, że usnął; otoczyła go mgła i ktoś w tej mgle zagwizdał.

Wstał z krzesła. Dzień się uczynił i ciężka mgła zstąpiła na ziemię — mgła przejmująca, zachłanna i cicha, poranna mgła krajów tropikalnych; mgła, która lgnie do człowieka i zabija; mgła biała i śmiertelna, niepokalana i i jadowita. Kayerts wstał z krzesła, ujrzał ciało u swoich stóp i — załamawszy ręce nad głową — krzyknął jak człowiek, który obudził się z letargu i zrozumiał, że zamurowano go w grobie na wieki.

— Ratunku!... Boże!

Wrzask nieludzki, drgający i nagły przedarł się jak ostry pocisk przez biały całun tego smutnego kraju. Z kolei rozległy się trzy krótkie niecierpliwe skrzeki i znów przez chwilę zwoje mgły kłębiły się cicho wśród straszliwego milczenia. Potem rozdarł powietrze cały szereg wrzasków szybkich i przenikliwych, niby ryki jakiejś rozjuszonej i dzikiej bestii. To postęp wołał z rzeki do Kayertsa. Postęp i cywilizacja, i wszelakie cnoty. Społeczeństwo przyzywało swego pojętnego wychowanka, aby roztoczyć nad nim

opiekę, pouczyć go, osądzić, aby go potępić; wzywało do powrotu na tę kupę śmieci, od której się oddalił — wzywało, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Kayerts usłyszał i zrozumiał. Potykając się, zeszedł z werandy i pozostawił tamtego człowieka w zupełnej samotności, pierwszy raz, od chwili gdy los rzucił ich razem, na to wybrzeże. Szedł po omacku wśród mgły, w swej nieświadomości wzywając niewidzialne niebiosa, aby cofnęły dokonane dzieło. Makola przemknął blisko we mgle i krzyknął, biegnąc:

— Parowiec! Parowiec! Nie mogą dojrzeć stacji. Gwiżdżą na nas. Lecę zadzwonić. Niech pan zejdzie do przystani. Ja będę dzwonił.

Zniknął. Kayerts stał bez ruchu. Spojrzał w górę; mgła kłębiła się nisko nad jego głową. Rozejrzał się wokoło jak człowiek, który się zabłąkał, i zobaczył na ruchliwej bieli mgły ciemną smugę — plamę w kształcie krzyża. Gdy ruszył ku niej chwiejnym krokiem, dzwon stacyjny zabrzmiał gwałtownie w odpowiedzi na niecierpliwe wrzaski parowca.

Naczelny dyrektor *Wielkiej Spółki Cywilizacyjnej* (ponieważ wiadomo, że za handlem idzie cywilizacja) wysiadł pierwszy na brzeg i natychmiast stracił z oczu parowiec. Mgła nad rzeką była niezmiernie zwarta; w górze, na stacji, dzwon brzmiał rozgłośnie i nieustannie.

Dyrektor krzyknął głośno w kierunku parowca:

— Nikt nie wyszedł na nasze spotkanie; może tam się stało coś złego, pomimo że dzwonią. Chodźcie lepiej ze

mną!

I zaczął wdrapywać się mozolnie na stromy brzeg. Kapitan i maszynista szli za nim. W miarę jak wspinali się wyżej, mgła rzedła i spostrzegli przed sobą dyrektora, który wyprzedził ich o dobry kawał. Nagle ujrzeli, że dyrektor rzuca się naprzód krzycząc do nich przez ramię:

— Lećcie prędko do domu! Znalazłem jednego. Szukajcie drugiego, prędko!

Znalazł jednego! I nawet ten człowiek, bogaty w doświadczenia różnorodne i wstrząsające, uczuł się nieco zmieszany tym odkryciem. Zatrzymał się i szukał po kieszeniach noża, stojąc naprzeciw Kayertsa, który zwisał z krzyża na rzemieniu. Wdrapał się widocznie na grób, wąski i wysoki i przywiązawszy do poprzecznego drewna rzemień, powiesił się na nim. Stopy jego znajdowały się zaledwie o kilka cali od ziemi; ręce zwisały sztywno. Zdawało się, że stoi wyciągnięty na baczność, tuląc żartobliwie fioletowy policzek do ramienia i impertynencko pokazując opuchły język swemu naczelnemu dyrektorowi.

Przypisy:

1. *krępy* — niski i mocno zbudowany. [przypis edytorski]

2. *wcale* (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

3. *niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

4. *galon* — naszywka na mundurze wykonana ze srebrnej lub złotej taśmy. [przypis edytorski]

5. *dla* (daw.) — z powodu. [przypis edytorski]

6. *okres* — retorycznie ukształtowane zdanie złożone, stanowiące całość znaczeniową. [przypis edytorski]

7. *zrychtować* (reg.) — wykonać, skonstruować. [przypis edytorski]

8. *Niech się pan już na mnie spuści* — niech mi pan zaufa i powierzy tę sprawę. [przypis edytorski]

9. *tykwa* — twarda okrywa owocu rośliny o tej samej nazwie, stosowana jako pojemnik na wodę. [przypis edytorski]

10. *jąć* (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur:
Fundacja Nowoczesna Polska
KRS 0000070056

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/conrad-placowka-postepu

Tekst opracowany na podstawie: Joseph Conrad, Opowieści wybrane, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1952.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska. Utwór powstał w ramach ”Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku” realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o ”Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r.”.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł.

Okładka na podstawie: Feans, CC BY 2.0

Plik wygenerowany dnia 2017-03-22.